

# Wstępna szpalta

## Nie tylko dla 7 milionów

Zakończył się Kongres Polskich Odrodzonych Związków Zawodowych. Z publikacji znamy uchwalone przez delegatów dokumenty. Warto jednak wrócić na się obrad, przypomnieć sobie dyskusje, jaka toczyła się wokół dotychczasowych dokonań i założeń programowych.

Stwierdzić trzeba, że była to dyskusja krytyczna. Delegaci zarzucali, iż projekt wdrożenia działalności OPZZ i projekt programu niedostatecznie odzwierciedlają stan faktyczny i zamierzenia na przyszłość. Mało miejsca poświęcono niezrealizowaniu części uchwał bytowskich. Odwołano się krytycznie do preferowanego często hasła przewodniego „place i ceny”.

Jeden z delegatów przedstawił potrzeby i niedostatki w sferze związkowej kultury, akcentując nienależyte podejście; do tych trudnych zagadnień ze strony OPZZ. Postulował usamodzielnienie komisji kultury w OPZZ, która dotąd łączona była z zagadnieniami sportu i rekreacji. Zdaniem delegata jest to konieczne w warunkach niskiej edukacji kulturalnej zarówno młodzieży jak i dorosłej części społeczeństwa oraz dużych dysproporcji w rozwoju kulturowym środowisk i regionów.

Stwierdzono, że OPZZ nie dorobił się sprawnego systemu informacji i propagandy. Tygodnik „Związkowiec” nie spełnia nadziei i oczekiwań czytelników. Pytano, dlaczego pochopnie zrezygnowano z dziennika związkowego nie dorobiono się programu związkowego w telewizji. Związkowcy nie mają dostatecznej informacji o tym, co dzieje się w OPZZ. Problematyka związkowa w środkach masowego przekazu jest okazjonalna i wybiórcza.

Zatrzymałem się przy tych głosach, gdyż przed dwoma tygodniami sygnalizowałem na tym miejscu istnienie takiego właśnie problemu. Zbyt nikle zainteresowanie szeroko pojętą kulturą, dążenie redakcji „Związkowca” do uczynienia pisma magazynem „uniwersalnym” — takie były m. in. moje spostrzeżenia. Potwierdził je delegaci. Dowodzi to, że wielu działaczy związkowych właściwie pojmuje obowiązki związków względem upowszechniania kultury i oświaty, przepływu informacji.

Od dwóch lat działało OPZZ, ale o jego bieżących działaniach przenikały do związkowców „dół” tylko nikielne informacje. A to bardzo źle.

Wielogodzinne dyskusje plenarne i w dwunastu zespołach problemowych nie pozostawiły, jak wynika z informacji, żadnej sfery działalności związkowej poza polem widzenia.

Uwidocznili się to w programie, liczących uchwałach i rezolucjach. Zaczynają tutaj rozdział uchwały Kongresu, dotyczący kultury, oświaty i wychowania. Zwraca się ona do wszystkich organizacji związkowych o:

— pełną realizację przez zakłady pracy postanowień ustawy o upowszechnianiu kultury;

— aktywne działania na rzecz rozwoju placówek i instytucji upowszechniania kultury w zakładach pracy i ochronie dóbr kultury;

— przejęcie mecenatu i opieki nad amatorskim ruchem artystycznym, rozwojem czytelnictwa i robotniczymi twórcami kultury.

Podkreślono też konieczność udziału przedstawicieli związków zawodowych w społecznych radach domów i klubów kultury, tworzenia związkowych komisji upowszechniania kultury w zakładach pracy i ogólnokrajowych organizacjach związkowych.

Nie zapomniano o oświacie i wychowaniu, domagając się współudziału związków w rozwoju edukacji zarówno wśród dzieci i młodzieży, jak i wśród dorosłych, zwiększenie nakładów na oświatę i naukę, wzrost liczby nauczycieli.

Sądząc, że uchwały i rezolucje dadzą organizacjom związkowym nowy impuls do intensywniejszych działań. Nie może bowiem ruch związkowy poprzestać na chronieniu praw i warunków bytowych, na zajmowaniu się tylko placami, cenami, warunkami pracy. Niedostatecznym elementem tej działalności musi być szeroka obecność związków w poczynaniach kulturowych, oświatowych. Od ludzi „na dole”, w zakładach organizacjach związkowych zależy teraz będzie, czy uchwały Kongresu pobudzą do działań te organizacje, które dotychczas nie troszczyły się, albo troszczyły zbyt mało, o potrzeby kulturalne swoich członków, o ich rozwój, o „odfajkowywanie” działalności kulturalną poprzez zakup, czy dofinansowywanie biletów na imprezy estradowe, cyrk etc.

Skupiają nowe związki około siedmiu milionów ludzi pracy, ale nie dla tych siedmiu milionów jedynie dyskutowano na Kongresie, podejmowano uchwały. Wydaje mi się, że problemy poruszane na Kongresie wzbudzały zainteresowanie całego społeczeństwa. Delegaci dawali wyraz swojej trosce i poprawie warunków życia nie tylko członków związków. Również premier przemawiał nie tylko do członków związków. Stwierdził, iż związki zawodowe są dla rządu trudnym, ale niezbędnym partnerem. I oznacza to, że głos związków będzie się liczyć w rozwiązywaniu wszystkich narosłych problemów. Głos ważny nie tylko dla siedmiu milionów.

ZBIGNIEW KREMPF

# WIDNOKRĄG

24 (858)  
2 XII 1986 R.  
RZESZÓW

• KULTURA • NAUKA • OŚWIATA •



Teatr Współczesny w Warszawie — „Kołacja na cztery ręce”. Na zdjęciu: Mariusz Dmochowski jako Bach i Czesław Wołłejko jako Haendel.

Fot. JACEK ŁOMNICKI  
PAWEŁ KWIEK

Krystyna Świerzewska

XXV Rzeszowskie Spotkania Teatralne

## PIESZO DO CZŁOWIEKA

Otworzyło Spotkania przedstawienie Teatru im. Wandy Siemaszkowej sztukę Edwarda Radziwiłłowskiego: „Lunin czyli śmierć Kubusia Fatalisty” — sztuką mądrą i piękną napisaną, w której pobrzmiewają echa polskiego romantyzmu, echa kordianowskie. Przy tym sztuka trudna do wystawienia, bo dziejąca się jakby w dwóch planach — tym rzeczywistym, który mieści ostatnie trzy godziny życia onegdajszego dekabrysty Lunina i wypływającej z nich ekspozycji rachunku sumienia: dialogu z samym sobą, co warte było życia, miłości, polityki, działalności buntowniczej, społeczeństwa. Lunin — postać historyczna, posłużył Radziwiłłowski do obrachunku moralnego. Przybrany w dilerotowy tytuł i kostium Kubusia Fatalisty — służy przewyższającemu myślą swego pana, srydającego z dostojnego mundurku monarchy — przegrzwa życie, bo nie dość kochał i nie dość był zbuntowany. Osadzony w bagnach Syberii na dwa dziesięć lat do końca mówi swoje „nie” panującemu porządkowi, osaczony złowróżbnymi myślami:

„Chciałem odegrać rolę Brutusa, zaś w imię praworządności przebrano mi rolę kozła ofiarnego”.

... nas podzielono — na tych, którzy siedzieli i na tych, którzy nas wsadzali. Jedni otrzymują krzyże, drudzy będą na krzyżach rozpięci”.

Mroczny jest ton rozmyślań Lunina o porządku władzy, o systemie, ale milicjancji społeczeństwie, o przyzwoleniu sytych na dziejące się wokół nieprawości. Pisze listy z zęsaniami, eseje, rozsyła po kraju, by dowiedzieć się przed śmiercią, że robi to za milicjancją przyzwoleniem władzy, że niegroźna ta pisanina dla niej, że dawni przyjaciele milczą, że odsuwają się od jego myśli jak od zadumionych, że czas jego poświęcenia jest zarazem czasem świętego spokoju dla niegdysz bilszych mu ludzi.

A więc przegrana? W rzeszowskim przedstawieniu Wiesław Lange — scenograf wytrawny organizuje przestrzeń sceny światłem, skupionym na ciemnych planszach mundurów, z krząkaniem zła w miejsce głowy. Wrota do celi stanowią dwie olbrzymie lłony; w miejsce ich rak, złożonych nabożeństwo, wiszą grube lufy. Przez te osobliwe drzwi wchodzi zandarmi i mordercy.

Zza tych mundurów wymuszają się nazwani w sztuce Pierwszy Mundur, Drugi Mundur, Mundur Monarchy, Ona — to nie są duchy przeszłości, to są projekcje myśli Lunina, jego dociekliwa, bo już ostatnia przed śmiercią, analiza zaistniałych ongi faktów, zdrad, podłości, miłosnych przeżyć.

I tu trzeba zorganizować architekturę przestrzeni — to musi być w przedstawieniu czytelne i nie może być dosłowne. Stanisław Wieszczycki — reżyser przedstawienia nie do końca poradził sobie z tym zadaniem budowania architektury przestrzeni: są sytuacje, gdzie w mundurów robią się realne

osoby, niektóre Mundury grają do widza, mizdrzą się, stają się partnerami tu i teraz istniejącymi realnie. Taka postawa Mundurów zamazuje sens sztuki, jest przeciw niemu, z Kubusia Fatalisty zostaje ni w pięt ni w dziwięk przyklejony do sprawy Lunina tytuł Diderota. Bo Mundury przestają być myśla, elementem analizy samego siebie.

Są dwie role w przedstawieniu, które zasługują na wyróżnienie: ta tytułowa, którą gra Jerzy Gorzko, z rozmachem, ekspresyjnie, ale momentami prawdziwie wzruszająco i rola Munduru Monarchy, zagrana w trzech wcieleniach carów Aleksandra i Mikołaja oraz Wielkiego Księcia Konstantego przez Jacka Lecznara. Lecznar strzeże się, by nie wyjść poza symbol; to jest rola Munduru Monarchy, którą robi człowiek odczłowieczony. Jerzy Gorzko natomiast nie schodzi ze sceny, dźwiga rolę — giganta; dlatego jednak trzy czwarte tej roli rozgrywa „w parterze”, na kolanach, czując się, w przedziwnych zwiach z barłogu — dalsbóg, nie wiem, kogo za to obłączył.

Mimo to pretensje „Lunin” był przedstawieniem interesującym, ambitnym i jako pierwsze przedstawienie XXV Rzeszowskich Spotkań Teatralnych narzucił im szlachetny ton teatru intelektualnego.

Potem obejrzałem „Hamleta” i „Kołację na cztery ręce”, a po nich czekałmy na mistrza nad mistrze, ubiegłoroznego laureata Spotkań — Henryka Tomaszewskiego i Teatr Pantomimy z Wrocławia. Tomaszewski zaprezentował nam swój scenariusz „Akcja — Sen Nocny Letnie!” według Szekspira i zaraz na wstępie powiem, że rozczarował mnie gorzko tym scenariuszem. Bo oto w cyrku — nieczym jasełka — morderce Spodek z ośmioma uszami daje występ: najpierw jako gwiazdor w garderobie, obłąkany przez fanów przesyła swe odle muskuly, potem na arenie, wityany rykiem fanów, daje pokaz możliwości inlinymiej części ciała, bluzując lukrowaną strugą czerwonej ciemności z czerwonego kwiatu, wpiętego w rozporok skórzanych portek. Przed kilkunastu laty w Londynie z lekka czerwieniły mu uszy na spektaklu „Ob Calcutta!”, zamiast kwiatu tłum golasów trzymał przy genitaliach gumowce rozpylacze i krzykowały się te wytryski po scenie, aktorzy gadali dowcipne świństwa ze scenarzystą napisanego przez znakomitego krytyka teatralnego Kennetha Tynnana. Cóż zrobić, gdy dziś, oglądając Szekspira, tak niedobrze skojarzył mi się pomysły Tomaszewskiego na Spodka z tamtą tandetą, głośną na cały świat?

Spektakl Tomaszewskiego jest dziwny właśnie w swoim scenariuszu. Bo oto między szekspirowską akcją fantastyki dziejącej się w Arkadii wkłada Tomaszewski artykuł publicystyczny na temat zagrożenia ekologicznego środowiska i społeczeństwa konsumpcyjnego, ogólnie mas mediami. Pomiędzy knajpiane stoliki, przy których

młodzi piją colę i piwo, układając stopy plastikowych puszek, ni stąd ni zowąd wkracza Oberon z Tytanią, a na ślubie trzech par ryczy telewizja i kwitnie pijactwo. Po wszystkich działaniach, miłosnomariatach zostaje śmieć, wjeżdżają opony samochodowe i zasadzony w nich wiatrymi roślinami i jest to wszystko jakob tenunajco — ponuro — żaloso.

Spektakl jest długi; pierwsza część trwa przeszło półtorej godziny, spektakl jest przegadany i dosłowny w swoich założeniach publicystycznych. Gdy go oglądała, pytałam zdumiona, gdzie podziła się ta cudowna zwartość relacji mistrza, choćby z „Kroła Artura” czy „Brata marnotrawnego”? Nie oglądałam występu Teatru im. Jaracza w Łodzi z „Panem Jowialskim” Fredry, w reżyserii Krzysztofa Bradeckiego, który cały toczy się w pogłosie gęgających gęsi i z zawieszoną nad sceną wierzba, na której w pewnym momencie pojawiają się gruski... Jakże to było przedstawienie — nie powiem więc od siebie; z wypowiedzi widzów wnose, że bardzo różnie odbierane i, niestety, nie najlepsze aktorsko.

Także tak było „Piesz” Sławomira Mroka, przywiezione przez Teatr Ludowy z Nowej Huty. Właśnie nie najlepsze aktorsko, przy mądrej inscenizacji reżysera Mikołaja Grabowskiego i asetycznej scenografii Kazimierza Wiśniewskiego, która tak wspólnie obnażyła marność iluzji, złudzenia teatralnego. Ten chwyt Grabowskiego, by na oczach widza zlikwidować teatr, obredzić scenę z pokrywających ją mat, rozebrać tor kolejowy, zapalić zwykłe ostre światła robocze, a potem w tej obnażonej scenierii zlikwidowanych dekoracji powiedzieć, że pieszko idziemy każdy do swojej własnej ucziwości — „liczy się tylko człowiek uczywy” — to był pomysły wstrząsający i okrutny. Teatr przestał być teatrem, dialog skurczony do minimum, sztycherzy ton frazesów państwowo-twórczych, przejmujące rzepole nie skrzywką — oto finał naszego pieszego dochodzenia do ojczyzny, która się rozdziła z magmy sądów fałszywych, niepokojów szczyrzych, przeczuc, nie znanego.

Nie na darmo Grabowski przed paroma laty był autorem „Transatlantyku”, spektaklu wspaniałego, „Piesz” — to jakby ciąg dalszy tamtych sporów o, ojczyznę — syn-czyż. To Gombrowicz dopowiedziany Mrokiem.

Na zakończenie więc dostaliśmy gorzki spektakl, ale przecież w jakiś sposób odpowiadający temu przedstawieniu z pierwszego dnia i samemu Luninowi, zaplanemu w świat podzielony między faryzeuszów i milicjanczy ucziwych, szamotającemu się między racjami Kaina i Aba. A także Sokratesa i Buddy, Cara i katorżnika. Były to bowiem dwa przedstawienia, które odpowiedzieć chciały na pytanie, czym jest człowieczeństwo. I szły mozolnie, pieszko do człowieka.

Mateusz Pieniążek

\* \* \*

to z braku skrzydeł umierają ptaki  
odchodzą z cienia wierze na papierze  
w których krwi na tyle by zbudować bańki  
z anemicznym królem  
i bladym sonetem  
w mózgach zwierząt wpisani  
jako zwierzęta do osaczenia  
drżymy jak liście ciągle osikowi  
mówimy wierzą  
więc święty obrządek czyniąc  
piszemy powtarzając świat  
od światła  
zasypany blady stwozyciele ziemi  
która po smach brązy  
kurzem i popiołem

Augustyn Baran

## Hotel w małym mieście

jest wyższy od nieba  
i ptaków  
Nieuchronne prawo hoteli  
w takich miastach  
Pomiędzy dobrymi chęciami  
miejskiego bruku  
i asfalem rozgrzanego nieba  
jest pokój w hotelu —  
z kocem pamiętającym  
pierwszego gościa  
baterią butelek po winie  
i przecieradłem wyspanym  
tak dokładnie, że widać  
miasto:

kolejkę przed meliną  
ocaloną wieżę  
z dzwonem ponięcym ogień,  
srazę i Tatarów  
Małe miasto bogate jest  
w historyjki  
W kącie meldunkowej hotelu  
adresy aktualnych najezdźców

Krzysztof Lipiński

## Epitafium

Gdy tracisz oddech  
pomiędzy dniami spiesznymi jak maszyna  
rotacyjna  
podróż ludzkiej rzeki niesłony donjąd  
gdym nie śpiasz i czekasz niecierpliwie  
na ziszczenie marzeń, którym się  
zaprzedałeś  
pomyśl jak piękny jest sen i drzewa  
nad wodą

Edward Winlarski

Profesorowi Stefanowi Białkowi

## pragnienie

przemówił  
głosem puszczyka  
co wyciąga z odrętwienia  
i nie niepokoi  
być gąską białą  
na rzuconej wodzie  
w leszczynach zakwitł  
między oddechem wiatru  
albo upadł ciężko  
dojrzał gruszą  
niech na murawie  
ludzie zobaczą



Tadeusz Kubas

# NA PRZYKŁAD: HASŁO „RZESZÓW”

Ostatnio udało mi się nabyć, wydany z pewnym opóźnieniem, drugi tom „Literatury Encyklopedycznej” — z podtytułem „Przewodnik Encyklopedyczny”, którą obdarzyło nas Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

Uczestniczyłem w tworzeniu i organizowaniu rzeszowskiego środowiska literackiego. To upoważnia mnie do wyjęcia naprzeciw oczekiwaniom Wydawnictwa z uwagami krytycznymi, sprostowaniami i uzupełnieniami dotyczącymi hasła „Rzeszów”.

Na stronie 329 „Przewodnika” czytamy: „Przełomem twórczości pisarzy rzeszowskich są almanachy; pierwszy „Gwoźnica” (1961), wyd. przez KKMP i Wyd. Kultury WRN, objął wiersze Jana Grygla, Cz. P. Kondraciuka, W. Kulikowskiego, L. Mazeli, Z. Ostrowskiego, L. Pietruszkowej, T. Piekiły oraz znanych poetów, wywodzących się z Rzeszowszczyzny: B. Koguta, J. B. Ożoga, S. Piętaka, J. Przybosia; nast. odnotowały osiągnięcia młodych „Gwoźnica” (1969, m. in. A. Zabierowskiego, P. Zbikowskiego, E. Granata)…”.

Nie mogę przajść obojętnie obok tej informacji, gdyż zawiera ona wiele fałszywych danych.

Otóż pierwszy almanach, który też — poza wymienioną czołówką — łącznie z Janem Grygłem, redaktorem literackim tej publikacji — odnotował osiągnięcia młodych, nie posiadał tytułu „Gwoźnica”, lecz „Almanach poezji rzeszowskiej” — i został wydany przez Zarząd Wojewódzki ZMW i Wydział Kultury WRN w Rzeszowie, a nie przez KKMP i Wydział Kultury WRN.

W tym czasie w kraju — jak również w Rzeszowie — nie istniał jeszcze ruch młodoliteracki pod nazwą KKMP. Działalność wówczas Korrespondencyjny Klub Młodych (KKM), który dopiero w późniejszym okresie dorzucił sobie literę „P”.

Almanach ten zawiera ponadto — poza wymienionymi w „Przewodniku” — wiersze następujących poetów: Bronisława Dryla, Stanisława Penara, Krystyny Szymonowicz, Barbary Tondos, Jerzego Walawskiego, Wincentego Zawirskiego, Edwarda Zolowskiego. Zwracam na to uwagę, ponieważ w tekście encyklopedycznym nie użyto wyrażenia: między innymi, które stosuje się przy wymienianiu tylko niektórych nazwisk.

Drugi almanach (1969), wydany przez KKMP przy Zarządzie Wojewódzkiemu ZMW w Rzeszowie, został w wyniku mojej propozycji zatytułowany: „Gwoźnica. II almanach poezji Rzeszowskiej”.

Trudno zatem zrozumieć fakt przypisania przez autora hasła „Rzeszów” tytułu „Gwoźnica” pierwszemu almanachowi.

Może również dziwić, dlaczego drugi almanach (22 autorów), który spotkał się z korzystną reperkusją krytyki literackiej, został w „Przewodniku” wyjątkowo skromnie odnotowany. Pominięto nawet nazwiska twórców, którzy grubo przed ukazaniem się encyklopedii byli już autorami indywidualnych pozycji książkowych i członkami ZLP (Wiesław Włoch, Tadeusz Kubas), natomiast poza jednym przypadkiem (Emil Granat) — podano nazwiska autorów, którzy — jak do tej pory — zatrzymali się na progu tego almanachu.

Ponadto przeraża „załatwienie” hurtem kolejnych generacji rzeszowskiego KKMP, jako współpracowników miesięcznika „Profil” (vide: str. 236—237 encyklopedii). Jak gdyby w tym Klubie nie wyrosły poetyckie indywidualności — godne stanąć obok autorów, których nazwiska zostały w tym tekście wypsiewkowane.

Mieszane odczucia budzi również epitet pod adresem Romana Turka jako „przedstawiciela regionalnej literatury ludowej”. Daj Boże więcej takich przedstawicieli regionalnej literatury ludowej!

waj, jeśli literaturę polską chcemy do brze żyć.

Slusnie pod hasłem „Rzeszów” dużo miejsca poświęcono Julianowi Przybosiu, jako człowiekowi i twórcy — informując, że stał się patronem młodych poetów poszukujących modelu regionalizmu w literaturze.

Informacja ta byłaby pełna, gdyby nie pominięto faktu wyłonienia się w 1967 roku spośród członków KKMP grupy poetyckiej, która — na mój wniosek — przyjęła nazwę „Gwoźnica”. Był to wyraz holdu dla autora „Równania serca”.

Grupa poetycka „Gwoźnica” figuruje w pracy Andrzeja Waskiewicza na temat „Grup literackich młodych w latach 1960—1970”, opublikowanej w „Pamiętniku Literackim” nr 4 z 1974 roku.

Nie jest przesadą twierdzenie, że atmosferę sprzyjającą powstaniu rzeszowskiego środowiska literackiego — uwiecznioną powołaniem tutaj w 1967 roku Oddziału ZLP — stworzył miejscowy Ośrodek KKMP, zaliczony do najaktywniejszych w kraju. W encyklopedii zabrakło choćby skromnej wzmianki na temat ogólnopolskich konkursów literackich na opowiadania o „Bieszczadzi Laur” — organizowanych przez ten Klub w latach 1970—1974, które pozwoliły wyłowić takich utalentowanych prozaików, jak: Włodzisław Kłaczynski, Marek Harny (Lubaś), Kazimierz Ivossa, Janina Krawczyk-Włoch. Te wymierne efekty cieszącego się dużą popularnością konkursu, uzasadniają moje pretensje pod adresem autora hasła, tym bardziej, że w encyklopedii nie zabrakło miejsca — i służyło na informację o Jarmarku Poezji o Laur — „Prometeja”.

Rzeszowski Oddział ZLP zainaugurował swoją działalność 26 listopada 1967 roku. Tworzyli go: Stanisław Stefan Gębala, Stanisław Orzeł, Jerzy Pleśniarowicz (prezes), Tadeusz Sokół i Roman Turak; Józef Kanuściński — szósty członek ZLP zamieszkały w ówczesnym woj. rzeszowskim (Przemysł) — zmarł w przeddzień inauguracji.

Autor hasła „Rzeszów” — nie skąpiąc swojej fantazji — zaszerował nam informację: „Lit. środowisko Rz. tworzyli prozaicy, m. in.: J. Łyskowski, S. Orzeł, S. S. Gębala, S. R. Lipiński, Z. Domin, poeci — T. Sokół, F. Lipiński, autorka sztuk scen. dla młodzieży i dzieci — M. Siedmiogóra”.

W encyklopedii tak napisano, mimo że w dniu inauguracji Oddziału osoby te — z wyjątkiem S. S. Gębali, S. Orła i T. Sokoła — nie należały jeszcze do ZLP, a niektórzy z nich byli wówczas na etapie książkowego debiutu.

Nie sposób pojąć, dlaczego wśród tych osób — rzekomych twórców literackiego środowiska Rzeszowa — brak nazwisk: Jerzego Pleśniarowicza i Romana Turka, chociaż — jak już stwierdziłem — byli oni faktycznie współtwórcami Oddziału.

Złoty okres kierowania przez Jerzego Pleśniarowicza Rzeszowskim Oddziałem ZLP trwał od listopada 1967 r. do listopada 1968 roku. W tym okresie organizowane były w Klubie „Turkus” przy Woj. Domu Kultury „Rzeszowskie Czwartki Literackie”, których inicjatorem i duszą był właśnie Jerzy Pleśniarowicz.

Po przeczytaniu w encyklopedii informacji na wyrost: „Od 1968 r. z inicjatywą ZLP odbywają się Czwartki Lit. w klubie „Turkus” — przypomina mi się propaganda sukcesu.

Gdyby autor hasła „Rzeszów” sięgnął do „Trybuny Ludu” nr 323 z dnia 21 XI 1969 roku — dowiedziałby się z mojego artykułu pt. „Rzeszów literacki”, że: „Od listopada 1968 roku, z chwilą wyboru nowego prezesa, wszystko się tutaj, niestety, zmieniło: jedynym punktem programu działalności Oddziału, tj. „Rzeszowskie Czwartki Literackie”, (...) stał się kołchofikacja”.

Uważam również, że Jerzy Pleśniarowicz — jako poeta, tłumacz, krytyk, reżyser teatralny i radiowy, inspirował pracę społeczną i kulturalną — nie został w tym materiale potraktowany na miarę formatu, jaki sobą reprezentował.

Warto dodać, że Jerzy Pleśniarowicz był najmłodszym poetą z kręgu czechowiczowskiego i postacią wchodzącą w zakres nowszej literatury polskiej. Dał się w Rzeszowie poznać jako wybitny tłumacz poezji słowiańskich narodów Związku Radzieckiego oraz poezji czeskiej i słowackiej. Szereg tłumaczeń publikował na łamach miejscowej prasy, o czym w hasle „Rzeszów” głucho.

Nie wspomniano w tekście hasła „Rzeszów” o oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej świadczącej głównie na rzecz związanych z tym regionem pisarzy; o Klubie Literackim ZNP działającym tutaj bez przerwy od 1968 roku — skłupa, identycznie jak klub w Opolu, nauczycieli uprawiających twórczość literacką i publikuje m. in. wkładki literackie w „Głosie Nauczycielskim”; o studenckiej grupie poetyckiej „Prometej” (1969—1972), której członkowie przeszli do KKMP; o Kole Młodych przy Rzeszowskim Oddziale ZLP (1973—1980) oraz o Klubie Literackim w Rzeszowie przy Krakowskim Oddziale ZLP (1964—1967), którym kierował księжник Bogdan Loebli i Tadeusz Sokół.

Twórcy ci — podobnie jak Wiesław Koszela — związali się w tym czasie z Rzeszowem.

Bogdan Loebli w 1981 roku został nawet wybrany prezesem Rzeszowskiego Oddziału ZLP. Zabrakło jednak dla Loebli i Koszeli miejsca w encyklopedii pod hasłem „Rzeszów”.

Czyżby rzeszowski informator nie wiedział, że temat w hasle „Rzeszów” mógł stanowić również kwartałnik pt. „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej”, wydawany w latach 1935—1936 pod auspicjami Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Rzeszowie, którego lamy wypełniali swoją twórczością między innymi: Leon Kruczkowski, Jan Bolesław Ożóg, Wilhelm Mach, Stanisław Piętak, Jerzy Pleśniarowicz (przekładający wiersze poetów ukraińskich), Stanisław Orzeł, Jerzy Hordyński, Franciszek Kotula, Franciszek Głódki, Jan Grygiel, Krystyna Świerczewska.

Gdyby autor hasła „Rzeszów” w dniu 13 X 1979 roku uczestniczył w uroczystym spotkaniu z okazji 10-lecia magazynu młodzieżowego „Prometej” — zapamiętałby, że w latach siedemdziesiątych ukazywał się w Rzeszowie miesięcznik o takim tytule, którego wkład w rozwój i integrację środowiska młodoliterackiego Rzeszowa do tej pory przewyższa.

Wyłania się dylemat: z czym czytelnicy hasła „Rzeszów”, szczególnie ci czytelnicy z zewnątrz — w sensie czasu i przestrzeni, mają sobie kojarzyć Jarmarku Poezji o Laur „Prometeja”, o których w hasle tym mowa, jeśli brak w nim równocześnie jakiegokolwiek wzmianki o grupie poetyckiej „Prometej”, a także o magazynie młodzieżowym „Prometej”, tj. o organizatorach tej imprezy.

Skoro kwestie te mamy wyjaśnione — czas, aby zastanowić się, dlaczego właśnie w hasle „Rzeszów” nie odnotowano ważnych dla życia literackiego Rzeszowa inicjatyw z zewnątrz — nie skwitowano informacjami historyczno-literackimi i krytyczno-literackimi inicjatyw wydawniczych młodych; dopuszczono do zaistnienia błędów merytorycznych i braku wielu informacji.

Radym wiedzieć, kto jest autorem tak opracowanego hasła.

Chcę wierzyć, że obecna wersja hasła „Rzeszów” jest w tej (pierwszej) edycji „Literatury Polskiej” przypadkiem osobobno: w następnym wydaniu hasło to będzie posiadało charakter naukowy.

Z całej Galicji na wieść o wybuchu powstania listopadowego, młodzi szlachcice opuszczali swoje rodzinne domy, dwory i dworki i spieszyli za Wisłę, do Kongresówki, żeby wziąć udział w zmaganiach o odbudowanie zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego. Zbierali się oni głównie w Staszowie, na północ od Miela.

Powstańcem listopadowym z Kolbuszowej był trzydziestoletni Wincenty hr. Tyszkiewicz, były pułkownik armii Królestwa Polskiego. Udał się on jednak do powstania nie z Kolbuszowej, lecz z dalekiej ziemi kijowskiej. Nie poszedł do niego Franciszek Wiesiołowski syn właścicieli Wojsławia, chociaż bardzo tego pragnął. Przeszkodziła mu w tym choroba.

Brał jednak udział w późniejszych tajnych spiskach, zwłaszcza w przygotowaniu powstania krakowskiego z 1846 r. Napisał też książeczkę „Ustęp z moich wspomnień”.

Halina Dudzińska

## PODRZESZOWSKIE ECHA POWSTANIA LISTOPADOWEGO

wydany w Jasle w 1861 r. i „Pamiętnik z lat 1843—46”, wydrukowany we Lwowie w 1868 r., w których utrwalili atmosferę i wydarzenia panujące w naszych stronach w okresie powstania listopadowego i później.

Podaje on, że w 1831 r. na ziemi galicyjskiej w widłach Wisły i Sanu, tak gęsto pokryte lasami, panował nieustanny ruch. Młodzi wybierali się do armii, starsi zbierali składki pieniężne, szukali broni. Kobiety szły bielizną i skubały szarpię. Różnorodne wieści krążyły z ust do ust, odbijając się w sercach na radość, to trwoga. Patriotcy żyli jakby w ciągłej gorączce. Władze austriackie początkowo patrzyły na to przez palce, lecz w obliczu klęski powstania i wzrostu ruchu z Królestwa do Galicji, wzmocniły strażę graniczną i demonstrowały wielką lojalność wobec carskiego sojusznika. Sytuacja była o tyle gorzej, że razem z uciekinierami przybywającymi w galicyjskie granice przyszła epidemia zaradźliwej choroby, nazywanej cholera, przywiezionej gdzieś z głębi Azji. Zbierała ona elbrzymie śmiertelne żniwo, grabież na osobnych, choletrycznych cmentarzach.

Na początku września 1831 r. przyszła do przygranicznych, galicyjskich dworów wieść o kapitulacji Warszawy, czyli końcu powstającego dramatu i o wkraczaniu na teren Galicji w ucieczce przed rosyjską niewolą, polskich korpusów wojskowych.

Jeden z nich, korpus gen. Hieronima Ramorino, Włocha, obywatela i oficera francuskiego, ohotnika do armii polskiej, wchodził na ziemię sandomierską od strony Chwałowia.

Dzień, w którym wieść o tym przyszła do Wojsławia wydał się Franciszkowi Wiesiołowskiemu dnem sądu ostatecznego. Metka jego pakowała a ojciec szybko pakował brykę rozmaity żywnością i wzięwszy z sobą Franciszka, ruszył w stronę korpusu. Jechał przez Padew, Dzików do Pniowa.

Franciszek widział po drodze przemyskających się polskich wojskowych, zmęczonych i trwożnych, spieszących do rodzinnych domów, znajomych czy krewnych. W Pniowie

spędził Wiesiołowski bezsenność noc, posadził przy stole obok zgromadzonych tam generałów polskich — Ramorino, Langermana, Gawrońskiego, Sierawskiego, Szajde i towarzyszącego im generała austriackiego, Franciszka najpierw omal nie padł na kolana przed tymi Polakami, uznawany za bohatera, odzianych w mundur, nie wywierała jeszcze z bitewnych prochów Grochowa, Ostrołki i innych. Potem ostyżł w zapale, gdy słuchał ich rozmów, sprzeczek, zarzutów złej woli, nieudolności, przekupstwa i zdrady. Rano Wiesiołowski opuścił pniowski dwór i pojechał trochę dalej, gdzie na wielkiej przestrzeni był zgromadził żołnierze, podoficerowie i młodzi oficerowie korpusu gen. Ramorino, otoczeni przez piechotę i konne strażnice austriackie. Armaty i większość broni porzucali oni już wcześniej po lasach. Białe mundury Austriaków i lśniąca od czystości ich konie wyglądały rażąco wobec polskich postaci ludzkich i końskich. Polacy mieli twarz wyrażającą odzyskanie i rozterki, mądry i płaszczące szare, często potargane. Niszczili resztki broni, żeby nie oddać ich Austriakom, łamali wozy i armatnie lawety i rozpalali z drewna ogniska. Żołnierze często przeklinali oficerów, uznając ich za sprawców nieszczę-

ścia. Głodne konie obgrzywały lawety i wozy. Wiesiołowski zabawił w obozie cały dzień, potem odjechał do domu, zabierając z Polaków, kogo się dało. W dworach, do których wstępował, widział wszędzie polskich wojskowych, zwłaszcza wyższych stopni, którzy pomyśleli już o sobie, poprzebierali się w cywilne, szlacheckie kurtki, chłopek kapoty i kożuchy.

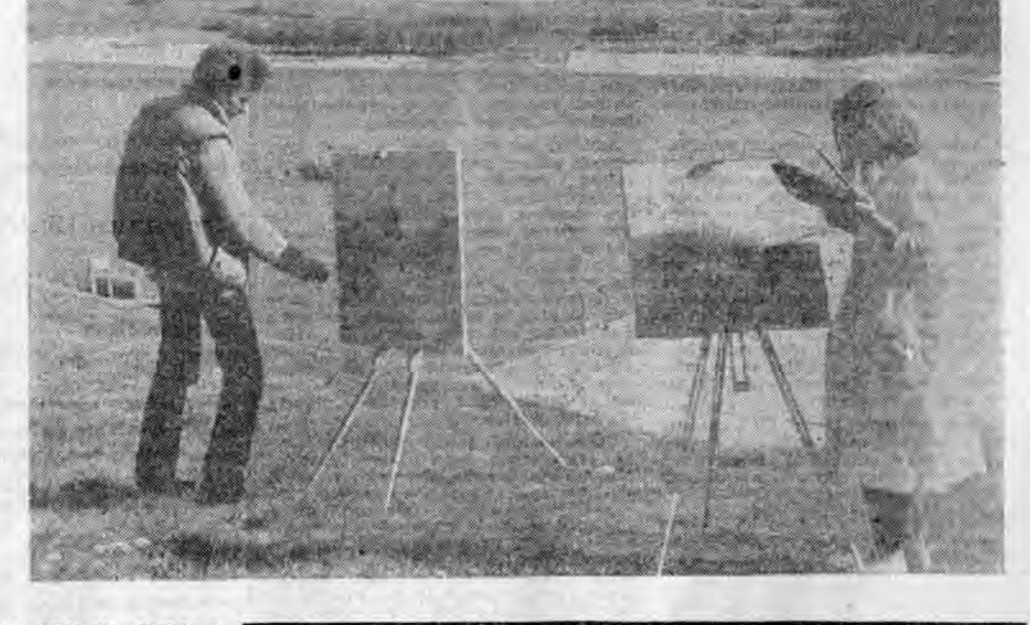
W dzień czy dwa później, Austriacy porzucili swoich jeńców spod Pniowa trochę dalej w głąb kraju. Gen. Ramorino przewieźli do Rzeszowa. Trzymali go tu, zapewne na zamku, przez miesiąc, aż jako obywatela francuskiego wypuścili. Wyjechał do Francji. Walczył potem o wolność Włoch i zginął w 1849 r., chociaż nie na polu walki. Oficerów sztabowych umieszczono w Sienławiu, trochę piechoty i artylerii w Rozwadowie, Rudniku nad Sanem i Letzajsku, cały zaś 6 pułk piechoty i dalsze baterie artylerii posłano do Kolbuszowej.

Żołnierze znaleźli schronienie w podmiejskich barakach, pewnie zabudowaniach folwarcznych, może na Kłodniczówce, oficerowie zaś we dworze, razem z oficerami węgierskiego batalionu piechoty i szwadronu szwoleżerów — czyli kawalerii lekkiej, mającej za zadanie pilnować Polaków. Było tu wszystkich bardzo dobrze. Przybyśże doznawali powszechnej żywości gospodarzy i ich sąsiadów — Wiesiołowski i Rejów. Gościna zaś trwała przez całe dwa miesiące. Franciszek Wiesiołowski spędził obok polskich wojskowych prawie wszystkie ich dni, ciesząc się zyciem garnizonowym.

W styczniu 1832 r. car Rosji, Mikołaj I pozwolił powrócić żołnierzom, podoficerom i mniej skomplikowanym oficerom jego polskiej armii. Bardziej skomplikowani musieli pozostać na obczyźnie. Wielu z nich postanowiło osiedlić się na dłużej w galicyjskich dworach.

Część wyruszyła na wielką emigrację do państw Europy Zachodniej.

### SZTALUGI NAD HAŃCZĄ



Było ich w sumie blisko 50. górników z kopali węgla kamiennego soli oraz siarki, amatorów którzy przybyli do Ośrodka Wzajemnego Kopalni i Zakładów Chemicznych Siarki „Siarkool” w Grzybowie, by wziąć udział w Ogólnopolskim Plenerze Malarskim „Hańcza-85”.

Gospodarze tego artystycznego rekonesansu pieczołowicie zajęli się niestandardnymi warunkami zapewnianymi im łoża komfortowe warunki nie tylko zamieszkania ale również i pracy twórczej. Przenosili więc na półną górę z Koni. Wielki Sztalugi. Słaska czy Bochni uroki Hańcza tej zapory a także poręcz ograniczane przez siarkowców wycieczki piękno Sandomierza, Łazowa, Klec, Staszowa, a nawet Staszowa Koni w Kurozwękach.

Na zakończenie pleneru plastyczny zaprezentowali na okolicznościowej wystawie dorobek twórczy spędzonych 2 tygodni. Część obrazów pozostała w Hańczy i Grzybowie, pozostałe wzbogaciła sala Galerii Sztuki przy Konali Węgla Kamiennego „Czerwona Gwardia” w Czestochowie, która wspólnie z Federacją Związków Zawodowych Górników była współorganizatorem pleneru. Szczególne słowa uznania należą się szwajcarskowiec z Grzybowo.

Na zdjęciu: Józef Juszczyk z Gorzowa i Joanna Korus z Będzina.

## „KACPEREK” ZAPRASZA NA MIKOŁAJKI

Tym razem „Kacperka” też nie zapomniał o dzieciach... Oto 5 grudnia br. o godz. 11 w rzeszowskim WDK-u zostanie najpierw przedstawione „Przygody Sierpity Szachrajki” w reżyserii Wiesława Słupskiego.

Natomiast o godz. 13 odbędzie się premiera sztuki Zbigniewa Leśnickiego pt. „Jak to wilków cała zjawa chciała porwać Mikołajka”. Te rozrywkową rzecz, tematycznie związaną z zimą, zabawami choinkowymi i prezentami, wyreżyserowała Emilia Umńska. Scenografię zaprojektował Janusz Pokrzywnka, a muzycznie sztuce przysposobił Antoni Mleczko. Popisowe role w tej lekkiej opowieści o perypetiach Mikołajka stworzył Tadeusz Wlazylek i Ryszard Szetela.

Warto dodać, iż premierowe przedstawienie poprzedzi krótka uroczystość wręczenia kolejnej statuetki pn. „Przyjaciół Teatru „Kacperka”. Tym razem odbiorcą tytułu i jego symbolu będzie dr Kazimierz Surowiec,

który swoimi recenzjami na łamach „Nowin” dokumentuje trud aktorski rzeszowskiej sceny dla dzieci i młodzieży. (mp)

### „Historia Włoch” na półkach księgarskich

Na półkach księgarskich nakładem „Osolineum” znalazła się „Historia Włoch” Józefa Andrzeja Gierowskiego. W przedmowie 745-stronicowego tomu autor przypomina, że Włochy jako zjednoczone państwo powstały dopiero w 1861 r. Początki dziejów Włochów jako narodu historycy wiążą z czysto symboliczną datą roku tysięcznego. Italia została po raz pierwszy zjednoczona przez Rzymian w II w. przed naszą erą, ale dopiero w 27 r. p.n.e. cesarz August uznał Alpy za jej granicę.

„Historia Włoch” przedstawia dzieje tego kraju i narodu — od starożytności, aż do czasów najnowszych. Interesujące są rozdziały dotyczące okresu faszyzmu i II wojny światowej. J. A. Gierowski wiele miejsca poświęcił wpływowi kultury Włoch na rozwój kultury europejskiej. Bogato ilustrowana książka uzupełniają: wykaz królów i prezydentów Republiki Włoskiej, Indeks nazwisk i nazw geograficznych i etnicznych, zabytków i spis map. (PAP)

### PRZECIWI NARKOMANII

Miejski Dom Kultury w Łańcutie organizuje w dniu 4 XII br. imprezę ukazującą skutki narkomanii oraz drogi do niej wiedzące. Będzie to projekcja kilku filmów poświęconych tej problematyce, na którą organizatorzy zapraszają zarówno młodzież szkolną, jak i jej rodziców. Będą to filmy: „Przyuczony narkoman”, „Przyśrodek”, „Szczęście”, „Przypadek”, „Alabama”.



# STUDENCI O POKOJU WYŚCIG INICJATYW POKOJOWYCH ZAMIAST WYŚCIGU ZBROJEŃ

15 milionów dzieci w wieku do 5 lat umiera co roku z powodu głodu i niedożywienia. Czy zwalczanie głodu, zagospodarowanie Sahary lub porzucając programy kosmiczne nie składają się na alternatywę dla wydatków na zbrojenia? W jaki sposób to jednak osiągnąć?

## MÓWIĄ UCZESTNICY SEMINARIUM

**ZSIGMOND SZABO**, I sekretarz komitetu miejskiego KISZ w Febergyarmat (Węgry): Przejchaliśmy tu chętnie, ponieważ temat seminarium jest bardzo aktualny i dotyczy wszystkich narodów. Zbrojenia dają się we znaki wszystkim i nikt nie może powiedzieć, że tego nie sprawna nie obchodzi.

Organizujemy festiwalie pieśni politycznej i plakatu politycznego, podejmujemy czynny społeczny — subotniki, z których zarobione pieniądze przekazujemy na fundusz pokoju.

**Prof. dr ANTONI GRONOWICZ**, naukowiec z USA:

Seminarium jest pozytywne, ponieważ wyrażają tu różne opinie. Każda z zagranicznych delegacji ma swoje spojrzenie na sprawę pokoju. Interesuje się historią XIX wieku, ale udział w tym seminarium pozwala lepiej ocenić bieżącą politykę.

Koordinatorem działań na rzecz pokoju jest w naszym kraju Węgierska Rada Pokoju. W pracach tej rady uczestniczą również przedstawiciele organizacji młodzieżowej — KISZ. Często podejmujemy wspólne inicjatywy. Ostatnio na przykład wydaliliśmy płytkę, z której dochód zostanie przeznaczony na fundusz pokoju.

Jestem zdania, że naród amerykański nie chce wojny. Amerykanie przyzwyczaili się do wygodnego życia i nie będą chcieli iść na wojnę. Proszę zwrócić uwagę na to, co głosią przywódcy religijni w Ameryce. Niedawno biskup protestancki Moore w największym w Nowym Jorku kościele św. Marcina na Manhattanie wypowiedział się za światem wolnym od broni nuklearnej. Podobnego zdania są biskupi katolicy.

Wyniki ostatnich wyborów do Kongresu USA pokazują, że polityka prezydenta Reagana nie ma poparcia w społeczeństwie amerykańskim. Ludzie obawiają się o przyszłość gospodarki, o poziom życia i nie chcą wydatków na zbrojenia.

Ja sam brałem udział w demonstracji przeciwko wojnie wietnamskiej. Było to w 1964 roku; czyli jeszcze przed eskalacją konfliktu. Jako historyk wiedziałem jednak, czym ta wojna może grozić.

**PIOTR TYMCZAK**, student III roku nauk społecznych WSP w Rzeszowie, przewodniczący koła naukowego socjologów:

Nasze koło działa od dwóch lat. Obecnie seminarium jest jak dotąd naszym najpopularniejszym przedsięwzięciem. Myślmy o zorganizowaniu w roku przyszłym obozu naukowego i zajęcia się kwestią migracji w Bieszczady.

Członkowie naszego koła są także aktywni w radiu studenckim. Staramy się słuchać tego, co ludzie mówią, o czym studenci dyskutują w pokojach — i przenoszę te dyskusje do studenckiego radia. Pytań mamy wiele i wiele spraw musimy wytłumaczyć sobie samym.

Sporo korzystamy z kontaktów z Ogólnopolską Radą Nauk Społecznych, która zrzesza studentów z kół naukowych i młodych pracowników nauk. Nasi członkowie uczestniczyli w organizowanej przez ORNS Letniej Szkole Nauk Społecznych. Zdałem sobie jednak sprawę, że działalność koła nie jest jeszcze w pełni rozkrojona i że sporo pracy przed nami.

Notował **WOJCIECH FURMAN**

# WSPOMNIENIE O JÓZEFIE ZYGMUNCIE

Parę tygodni temu odszedł na zawsze mgr Józef Zygmunt, długoletni kierownik Szkoły Podstawowej w Jeżowie, dużej wsi, w dawnym powiecie niżańskim (dzisiaj woj. tarnobrzeskie, przed parunastu laty rzeszowski). Zmarł w 78 roku życia, dość dawno był już na emeryturze, ostatnio mieszkał w Stalowej Woli. Znany był szeroko w kręgach nauczycielskich. Poznałem go przed laty, kiedy przyjechał do Rzeszowa, jako członek prezydium Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Na posiedzeniach Zarządu wnosił wiele ciekawych spostrzeżeń i cennych uwag doświadczonego działacza oświatowego. Ale jeszcze bardziej interesująca była jego działalność na terenie własnego środowiska, gdzie prowadził uniwersytet powszechny przez 10 lat z rzędu. Pogadanki i prelekcje z użyciem różnego rodzaju pomocy naukowych cieszyły się niekłamnym powodzeniem.

prelegenci z Rzeszowa (sam byłem dwa razy), trafiali się goście z Warszawy, a raz nawet z zagranicy, by zobaczyć wzorową placówkę oświatową.

Jaki był sekret pomysłu rozwoju uniwersytetu powszechnego w Jeżowie? Czy staranny dobór prelegentów, czy tematyka dostosowana do zainteresowań i życzeń słuchaczy? Na pewno były to czynniki istotne, ale decydowało coś innego: osobowość kol. Zygmunta, jego autorytet i umiejętność zjednywania ludzi. Był urodzonym społecznikiem, umiejącym stosować w taktyczny sposób właściwe metody wychowawcze wobec dorosłych. Nie dźwignę, że na sejmiku krajowym TWP zasiadał w prezydium.

Na koniec warto przypomnieć, że odznaczania, jakie posiadał: Krzyż Kawalerski, Oficerski oraz Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski wskazują, jak poważnie był Jego zasługi w pracy społecznej, w której długoletnia i wytrwała działalność w TWP zajmowała poważne, choć nie jedyne miejsce.

T. STANISZ

# Jerzy Dynia NOBU WAKABAYASHI — CHCĘ GRAĆ JESZCZE LEPIEJ



W ubiegły piątek, 28 listopada br., z orkiestrą symfoniczną Państwowej Filharmonii w Rzeszowie, prowadzoną gościnnie przez Krzysztofa Missonę, wystąpiła artystka japońska, laureatka III miejsca IX Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego NOBU WAKABAYASHI. Występ został przyjęty przez tłumnie zgromadzoną publiczność niezwykle gorąco. Na sali koncertowej znaleźli się melomani nie tylko z Rzeszowa ale i z Krosna, Jarosławia, Stalowej Woli. W rozmowie z opromienioną sukcesem artystką powróciliśmy jeszcze raz do jej pobytu w Poznaniu:

— Chyba jednak życzliwość, serdeczność i gorące przyjmowanie artystów przez Polaków.

— Czy zdenerwował się Pan do tej pory jakiegoś momentu mniej przyjemnego?

— Polska jest bardzo muzycznym krajem, ma publiczność kochającą muzykę. A jednak byłam Niemcem zaskoczona kiedy występowałam w Warszawie do księgarń muzycznych aby kupić nuty z utworami polskich kompozytorów, z myślą o włączeniu ich do swego repertuaru i odchodząc z nimi. Czyżby nie zależało Wam na propagowaniu polskiej muzyki? Spotkałam za to kilka osób, które bardzo chętnie chciały pozyczyć mi poszukiwane przeze mnie materiały.

— O czym Pan w tej chwili marzy?

— Nie są to marzenia szalone. Chciałabym coraz lepiej grać i koncertować. Chciałabym bardzo jeszcze raz przyjechać na tournée do Polski. Może wówczas miałabym więcej czasu na bliższe poznanie Waszego kraju.

— Życząc Panu tego, gratuluję sukcesu w Poznaniu, a także w Rzeszowie i dziękuję za rozmowę.

Nobu Wakabayashi występując z orkiestrą Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie zagrała jeszcze piękniejsze niż w Poznaniu. Nie było już konkursu, pogięra mikrofonów i telewizyjnych kamer. Po wykonaniu II Koncertu skrzypcowego H. Wieniawskiego zaczęły się ogromne brawa, a potem bisy: Paganini, Bach i jeszcze raz II część koncertu — Andante ma non troppo. Krzysztof Missona powiedział później: „Dyryguję już 34 lata, ale nikt dotąd nie grał tak pięknie tego Romansu jak Nobu Wakabayashi”.

Serdeczna, uśmiechnięta, naturalna i przy tym bez cienia gwiazdorstwa. Kiedy w rozmowie z dyrygentem Nobu dowiedziała się, że są kłopoty, bo choroby zmniejszyły obsadę rzeszowskiej orkiestry — szczególnie i skrzypce — najwyraźniej w świecie zaproponowała: „To może ja usiąść przy którymś pulpicie i zagrać z orkiestrą podczas wykonywania symfonii Mendelssohna?”. Kogo z wielkich stał by było na taką propozycję?

W kłódnie pamiatkowej rzeszowskiej Filharmonii napisał: „Moi drodzy przyjaciele z rzeszowskiej orkiestry! Jestem szczęśliwa, że mogłam tutaj być i grać z Wami. Nigdy nie zapomnę Waszego serca i wspierającego brzośnie. Jestem gotowa zobaczyć się z Wami ponownie i znów z Wami zagrać. Dziękuję Wam bardzo za wszystko. Z najlepszymi życzeniami — Nobu Wakabayashi”.

# BRĄZOWY MEDAL NA POŻYCZONYCH SKRZYPCACH

Rozmowa z Robertem Kabara — laureatem IX Konkursu im. H. Wieniawskiego

— Przekijmy to jeszcze raz: sobota, 22 listopada 1986 roku, aula Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zbliża się północ, napięcie, szumy, telewizja i radio w dwóch programach transmityją moment ogłoszenia werdyktu jury IX Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Dyrektor Konkursu Edmund Grabkowski wchodzi na estradę i uroczyste obwieszcza: „Proszę państwa, jury podjęło przed chwilą decyzję o przyznaniu nagród... dwie trzecie nagrody otrzymują: pani Nobu Wakabayashi i Robert Kabara”. I wtedy rozlega się burza oklasków.



„Szczególnie serdecznym aplauzem przyjmowała publiczność ujmującego kulturowo interpretacji i pięknym tonem staro-włoskiego instrumentu, 23-letniego polskiego kandydata Roberta Kabara” — tak pisał Józef Kański w jednej ze swoich relacji z poznańskiego konkursu.

Na zdjęciu: Robert Kabara — w obiektywie Jerzego Untierzyckiego.

— Dostałem w sumie 8 pozaregulaminowych nagród, z których najbardziej sobie cenię nagrodę światowej sławy skrzypka polskiego pochodzenia Henryka Szerynga za najwybitniejszą interpretację, którą podzieliło między Ewgenija Buszkowa, Nobu Wakabayashi i mnie. Ponadto, podobnie jak Dorocie Siudzie, przypadła mi nagroda od jurora Jerzego Milewskiego z Brazylii oraz od pana Herberta Axelrode — jednego ze znanych amerykańskich wydawców muzycznych i impresariów. Otrzymałem także nagrodę ufundowaną przez jednego z impresariów szwedzkich. Tyle tych nagród, że trudno mi się jeszcze w tym wszystkim połapać.

— A mógłby pan przynajmniej zdradzić wysokość zapamiętanych nagród?

— Nie mam jeszcze tych pieniędzy w ręku, ale wiem, że od Henryka Szerynga dostanę 2500 franków szwajcarskich, od pana Axelrode 250 dolarów. Oprócz tego jeszcze trzy tysiące koron od Szweda, 500 dolarów od pana Milewskiego...

— Ciekawe, co pan — młody, niedoświadczony człowiek zrobi z taką sumą?

— Może kupię sobie wreszcie własne koncertowe skrzypce wysokiej klasy.

— Nie wystarczy ten starowłoki instrument, na którym „wygrał” pan w Poznaniu brązowy medal w tak silnej konkurencji?

— To, niestety nie są moje skrzypce. Wypożyczył mi je kolega z Warszawy — Kazimierz Olechowski na trzy tygodnie przed konkursem. Jestem mu za to niezwykle wdzięczny, tym bardziej, że sam był uczestnikiem konkursu, wszedł do drugiego etapu. Skrzypce zbudowane w 1730 roku przez weneckiego mistrza Petrusa Guarneri są własnością Państwowej Kolekcji Instrumentów Lutniczych w Warszawie. Można więc powiedzieć, że znalazły się w moich rękach — zupełnie prawnie.

— Teraz, kilka dni po konkursowych przeżyciach, i emocjach, nie ma pan przypadkiem chwilowo... dość skrzypce, muzykowania, koncertowania? Rzuć skrzypce w ką, zaszę się gdzieś w górskim szroniku na łonie przyrody...

— Wie pan, przed konkursem obiecywałem sobie, że jak się do tygodnia skończy, zrobię sobie przynajmniej dwa tygodnie luzu, odpoczynku. Z planów „urlopowych” wyszły jednak zupełnie nic. Nie mogłem przecież nie przyjąć tak ważnych propozycji koncertowych, jakimi są występy w Filharmonii Narodowej w Warszawie — już 3 grudnia, potem recital w Filharmonii Bydgoskiej, 10 grudnia koncert w Filharmonii Łódzkiej, występ w Krakowie itd. Mnożstwo propozycji, co wcale nie znaczy, że teraz gram o wiele lepiej niż przed konkursem...

— Czy już pan otrzymał jakiegoś zaproszenie na koncerty za granicą?

— Żadnych kontraktów jeszcze nie podpisywałem, jednakowoż otrzymałem wiele propozycji od impresariów zagranicznych, ale — myślę — że tą sprawą zajmie się już „Pagart”.

— Każdym razem, do końca roku nie przewiduję wyjazdów za granicę. Podobno, od stycznia, lutego już się zaczyna. Wyjazd za wyjazdem, m. in. tournée po Stanach Zjednoczonych.

— Słyszałem, że magister Robert Kabara — absolwent Akademii Muzycznej w Krakowie, laureat Konkursu Wieniawskiego jest... bezrobotny.

— To prawda. Lecz choć nie jestem na

razie nigdzie zatrudniony na etacie, na brak pracy nie mogę narzekać.

— Wyjaśnijmy sobie: czy pan się obraża najbardziej krakowiakom czy przemysłowcom?

— Muszę powiedzieć, pół na pół. Przemysł to są moje początki, strony rodzinne, tu mam mamę, bratka. Tutaj zawsze chętnie powracam. I nie wyobrażam sobie, żeby kiedyś wyjechał inaczej.

Kraków stał się natomiast dla mnie kopalnią wiedzy artystycznej, której zdobycie zawiązałem m. in. takim doskonałym pedagogom, jak pani profesor Eugenia Umłńska oraz pani docent Kaja Danczowska, która pracowała nade mną 6 lat. W Krakowie mam wielu przyjaciół.

— Jaki jest pana stosunek do muzyki rockowej i jazzowej?

— Muzyki rockowej w żaden sposób nie potrafię porównać z muzyką poważną, gdyż

tamien gatunek muzyki nie przedstawia dla mnie wartości głębszych. Istnieją jednak wykonawcy rockowi, którzy bardzo mi imponują swoją osobowością, sposobem bycia na estradzie. Staram się podpatrzeć, w jaki sposób zdobywają publiczność.

Co innego jazz. Istnieją takie wykonania jazzowe, które śmiało mogą stawić na równi z muzyką poważną. W tajemniczo panu powiem, że nieraz staram się posłuchać różne sposoby wydobycia artykulacji, dźwięku przez wielkie gwizdy „jazu”.

— Dowiedziałem się przypadkiem o talentach... kulinarnych młodego wirtuoza skrzypce.

— Bez przesady... raz o prawdę udało mi się nawet z pierogami, ale to tylko tak z fantazji.

— Czy Robert Kabara jest kawalerem?

— Tak, tak.

— Kiory to już z kolei wywiad z laureatem?

— Nie lekczym... Myślę, że około dziesięciu wywiadów już udzieliłem.

Rozmawiał **MIECZYSLAW NYCZEK**

# Jullian Ataman KOLOROWE ŚWIATY

Listopadowa prezentacja w Domu Sztuki to dwie wystawy indywidualne: malarstwa i rysunku Krzysztofa Motyki, ilustracji do bajek Andersena Anny Justyny Hubert oraz ilustracji do czasopiśmie dziecięcych i młodzieżowych z zbiorów BWA w Zamościu. Krzysztof Motyka przedstawia malarstwo, scenografię i grafikę wydawniczą. Ale malarstwo zdominowało wystawę — plakat teatralny i projekty scenograficzne są jakby dopełnieniem. Jeśli się przypomni, że w 1993 roku była wystawa jego rysunku, a w ubiegłym roku wystawa pt. „Znaki” czyli prezentacja znaków plastycznych, które miały być tematem plakatów głównie teatralnych, to okazuje się, że listopadowa wystawa jakby zamyka cykl prezentacji żywej twórczości artysty.

uzupełniająca się całość, innym razem przeciwnie, ale przenikająca się światy. Jest w działaniach Motyki jakaś przyciągająca wzrok dekoracyjność, wynikająca z jego „scenograficznego” sposobu myślenia.

I w ten sposób prezentacja jego twórczości zdominowała dwie pozostałe wystawy, chociaż zawiera się w nich ogromny kolorowy świat dziecięcych wyobraźni tworzonej i pobudzanej przez takich artystów jak Janusz Stanny, Józef Wilkoń, Gwidon Miklaszewski, Marcin Szancer, Bohdan Butenko, Jerzy Flisak, Elżbieta Gaudasińska. Ilustracja w Świerszczuku, Misiu, Piomyku, Piomycku, Świecie Młodych jest sprawą podstawową, tak naturalną i oczywistą, że niemal niezauważalną. Dopiero takie wystawy jak ta odkrywają wartość tej ilustracji jako dzieła sztuki. Ilustracji tutaj działającej niezależnie od tekstu i w pełni tę próbę wytrzymującej.

Mimo różnorodności uprawianych przez Motykę działań plastycznych twórczość ta stanowi spójną całość. Porządkuje ją, łącząc metaforyczny sposób przekazu artystycznego. Zestawienia przedmiotów — znaków są pozornie tylko zaskakujące, nie ma tu zbyt wiele odniesień symbolicznych, skrajnie nabyt rozumowych czy znaków zbyt abstrakcyjnych. Malarstwo — to cykl rodzajów asambliży, w których elementy tkanin, ubrania czy spreparowanych kolorów przedmiotów w zestawieniu z kolorowymi nierzeczywistymi pejzażami czy aktami tworzą ras



GALERIA PLAKATU FILMOWEGO



NA EKRAKACH

Plakat stanowi ważny element naszej codziennej edukacji plastycznej. Do obecności plakatu, w tym także plakatu filmowego, przyzwyczajaliśmy się tak bardzo, że bez niego trudno byłoby wyobrazić sobie niektóre nasze ulice. Niestety doświadczenia są nie najlepsze. Co prawda, spotyka się dzieła naprawdę wybitne, potwierdzające klasę polskiej grafiki użytkowej, która cieszy się uciążą międzynarodowym uznaniem i prestiżem. Lecz także często się wyeksponowane gina w natłoku rozmaitych bieżących anonasów i afiszy.

Zatem, by mogły się nieco dłużej utrwalic w pamięci, będziemy prezentować je w naszej "Galerii plakatu filmowego". Oczywiście te, naszym zdaniem najciekawsze, których produkcja nie przekracza możliwości technicznych naszej gazety. Każdej prezentacji będzie towarzyszyło krótkie omówienie reklamowanego przez plakat filmu.

Rozpoczynamy od plakatu M. KALKUSA do filmu "DOTKNIĘCIE MEDUZY" reż. JACKA GOLDA. Magnesem przyciągającym do obejrzenia tego angielsko-francuskiego filmu sprzed osmiu lat winna być znakomita obsada, a zwłaszcza nazwisko autentycznej gwiazdy — RICHARDA BURTONA. A więc...

ZNOWU BURTON

Aktor wysmienity, który już dość długo nie gościł na ekranach naszych kin. Jego powrót jest naprawdę błyskotliwy. Udaje mu się bowiem zreć ominiąć wszelkie pułapki i mielizny nie najlepszych scenariuszy, który jest wymownym przykładem kompromisu między tzw. kinem ambitnym a komercyjnym. Stworzył postać jakże rzadko spotykaną w gatunku, który angielscy kryty-

cy filmowi zwykli określać mianem "fantazja katastroficzna". Jego bohater jest nie tylko odurzony demoniczną siłą, jest przede wszystkim człowiekiem (?) odmieńcionym przez niemiłosiernie, poczucie krzywdy i chęć natchmianowego wyrównania rachunków.

Burton — jako bohater filmu — posiada moc zabijania, moc niszczenia wzrokiem, siłą swej woli. Zdajemy sobie jednak sprawę, że prezentowana przezeń zbrodnica telekinetyzmu stanowi tylko pretekst, by ukazać wrodzone cechy ludzkie. Aktor zdaje się przestrzegać nas: nie dajcie się zwieść pozorom, w świecie nie brak takich maniaków. Są dla tego świata realnym niebezpieczeństwem.

Przestrzegalbym jednak przed wyciągnięciem z filmu podtekstów natury filozoficznej. Swój świat filozofii, jaką Jack Gold nazwał "dotknięciem meduzy" jest niewątpliwie płytka, gdyż podporządkowana całkowicie konwencji komercyjnych filmów grozy, w których liczy się wywołanie emocji, a nie pogłębionych refleksji. Jeśli zaś filmowe perypetie krótki głównych bohaterów — inspektora policji, autora powieści fantastycznych i lekarza psychiatry — nabierają niekiedy trochę głębszych znaczeń, jest to wyłącznie zasługa aktorów. A trzeba powiedzieć, że Burtonowi towarzyszą same znakomite: Lino Ventura, Leo Remick, Marie-Cristine Barrault.

Sądza, że "Dotknięcie meduzy" zainteresuje kinomanów i że w pamięci wielu zostanie fascynująca, poorna zmarzaczkami twarz Richarda Burtona. Człowieka, w którym walczą ze sobą instynkty dobra i zła. I jak nieco żartobliwie powiadają niektórzy, człowieka, który był do tej roli niejako predestynowany. Bo czyż nie dysponował ogromną siłą oddziaływania, skoro udało mu się ujarzmić najpiękniejszą gwiazdę Hollywoodu Elizabeth Taylor i odnieść wielki sukces w "Poskromieniu złośnicy"?

Ważne miejsce w pracach Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyslu, skupiającego 341 członków indywidualnych i 14 zbiorowych, zajmuje działalność naukowo-badawcza. M. in. członkowie sekcji nauk humanistycznych zajmują się problematyką historii społeczno-gospodarczej miast Ziemi Przemyskiej w XVI i XVII stuleciach, ruchu robotniczego i ludowego w tym regionie, a także kultury, literatury, architektury, archeologii i etnografii.

Bardzo owocną działalność rozwija sekcja nauk przyrodniczych i Zakład Fizjografii i Arboretum w Bolesztraszycach. Koncentruje się ona głównie na hodowli stałej kolekcji roślin oraz na badaniach nad zanikającymi gatunkami roślin, zleconymi przez Polską Akademię Nauk i Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyzszego. Warto podkreślić, że ZPFA wybudował we własnym zakresie alpinarium, a także wykonał wiele prac technicznych związanych z zagospodarowaniem ogrodu oraz szkółek roślin rzadkich i ginących.

Nowela Kryminalna

Emil Stagnone poznał tę dziewczynę w barze, dokąd wpadł na szybki i tani posiłek. To, że posilek był tani, znaczyło nawet więcej niż szybkość jego otrzymania, bo Emil był w poważnych kłopotach finansowych. Od chwili wyjścia z więzienia nie trafiła mu się żadna robota. Kumpie jak gdyby od niego stronił. Może myśleli, że jest obserwowany? Dziewczyna była ładna, skromnie ubrana i niezrażona. Widział, że rozgląda się niespokojnie po barze, szukając wolnego stolika. W jednej ręce trzymała talerzyk z hamburgerem, w drugiej szklankę soku pomarańczowego. Kiedy jej spojrzenie padło na niego, pomachała ręką i wskazał miejsce obok siebie. Usiadła, uśmiechnęła się przepaszająco.

— Straszny tłok tutaj. Bar, gdzie zazwyczaj jadam, jest w remoncie — powiedziała. — Nie miałem nic złego na myśli — powiedział, żeby złagodzić tamto zdanie. — Asinus asinorum sum — dodał. — Dlaczego uważa pan, że jest osłem nędż osłami? Rixari de asini umbra. — Podniosła na niego oczy z niewinna mina. — Zna pani łacine? Mogłem się tego spodziewać. Właśc. zgoda, nie będziemy się spierać o cień osła.

Rozemnił się oboje. Nie czuli się już skrępowani. Opowiadali sobie dowcipy. Emil dowiedział się, że dziewczyna ma na imię Anna i pracuje jako sekretarka u pewnego przedsiębiorcy. O sobie powiedział niewiele. Był po prostu mechanikiem precyzyjnym, co w pewnym sensie prawdziwie określało jego zawód. Po tym przypadkowo wspólnie spożytym posiłku zaczęli spotykać się codziennie. I choć Emil nigdy nie przywiązywał wagi do poważniejszych uczuć, stwierdził, że Anna jest mu coraz bliższa. Po jakimś czasie odważył się nawet zaprosić ją do siebie. Zgodziła się, po namyśle, przyjąć zaproszenie.

Przed jej przyjęciem wyszperała dokładnie swoje jedynokojowe mieszkanie. Błaznęła wypełnić książkami do których dawno nie zaglądał, leżącymi dotąd w jakimś kącie po rewali. Jaka przeszydła policja w momencie jego aresztowania. Przygotował butelkę wina, kawę, ciastka.

Anna przyszła punktualnie. Ubrana była w skromny, granatowy kostium. Wysoko zaopięta bluzka i gładko uczesane włosy nadawały jej wygląd dziewczyny o niewzruszonych zasadach moralnych.

— Ciesze się, że przyjechała. Pięknie wyglądała — powitał ją Emil, śledząc wyraz jej twarzy. Nie wiedział, jak ocenić skromne warunki jego bytowania. — Mieszkać skromnie. A ja myślałam, że chcesz mnie obić w bułacie urzędniczą garsonierą. — Anna uśmiechnęła się i musnęła czubkami palców jego policzki. — Przynajmniej nie wpadnę w kompleks, bo mieszkać podobnie. Emil usadowił Annę na fotelu z wysokim oparciem. Jedyną krzesło, jakie oprócz fotela posiadał, postawił ostrożnie po drugiej stronie stołka, "zastawioną" butelką wina, dwiema filiżkami i talerzykiem z ciastkami.

ASINUS ASINORUM

wspaniałej garsoniery, ale niestety. Jestem biedny. Nieważne. I tak bardzo mi się podoba. Może widać to dlatego, że nie należysz do bogatych nierobów. — Anna odstawiła kieliszek i podniosła się. — Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy człowiek codziennie wysłuchuje dziesiątki rozmów o pieniądzu. — Wolałabym jednak mieć pieniądze. — Emil rozemnił się i przytulił Annę. — Wyobrażasz sobie, jak pieniądze ułatwiają życie? — Wyobrażam sobie. Tylko widzę, że uczucie trudno je zdobyć. To znaczy, własna praca, taka jak moja i twoja. — Praca? Licy się umiejętność zdobywania pieniędzy. Za wszelką cenę! — Emil rozemnił się głono. — Uczelwa praca można tylko zarobić na niedużo weselecie! — O czym ty mówisz? Właśnie o tym, że zdobywanie pieniędzy za wszelką cenę, widzę przed sobą gangsterów albo włamywaczy! Emil odsunął Annę od siebie. Spojrzył na nią z niepokojem. Niepotrzebnie zdradził swój punkt widzenia na pieniądze i sposób ich zdobywania. Musiał obrócić to w żart, bo Anna zaczęła coś podejrzawać. — Masz oczywiście rację — powiedział. — Taki sposób dochodzenia do pieniędzy nie jest właściwy.

Anna spojrzała na niego spod opuszczonych powiek. Czy jej bliznęły, jak gdyby była mocno wzburzona. Usiadła z powrotem, ujęła kieliszek w obie dłonie. Emil wrócił na swoje chyboliwe krzesło. Przez dłuższą chwilę trwało milczenie. — A jednak masz rację — odezwała się Anna nagle. — Oczywiście, w tym, że pieniądze — ułatwiają życie. Wyobraź sobie, że mamy pieniądze. Moribitermy podróbować, wynająć wygodne mieszkanie i przytulnie je urządzić. A tymczasem inni... — Miał pieniądze — przerwał jej. — Korzystała z nich, a nawet nie potrafiła w pełni korzystać. — Jak mój szef. — Anna ułila łwk wina. — Siedzi na pieniądzu, ale pensji nikomu nie podnieśli... — Po tamtej rozmowie i wspólnej spędzonej nocy Emil Stagnone zaczął się zastanawiać nad "skokiem", który przyniósłby taka suma pieniędzy, żeby mógł z Anną spędzić chociaż urlop bez trosk. Myślał nawet o tym, że ożeniłby się z Anną. Rozglądając się po różnych "drobkach" wnet nawiązał do pomysłu, żeby bliżej zająć się przedsiębiorstwem, w którym pracowała Anna. Przy każdym spotkaniu wydywiał ją o sposób i miejsce przechowywania znaczniejszych kwot. Czynił to niby mimochodem, zreszcie zmieniając temat. Dowiedział się, że żona szefa Anny posiada cenna biżuterię, że lubi trzymać w domowym sejfie ogromne sumy, bo nie dowierza bankom, ani meżowi, od którego jest młodszą.

Któregoś dnia Anna oznajmiła Emilowi, że spodziewa się dziecka. Dodała, iż fakt ten nie zobowiązuje go do niczego. Emil, w pierwszym momencie zaskoczony, przytulił Annę do siebie i zaczął ją całować. — To cudownie — wywrętał. — Natychmiast się pobierzemy. — I co dalej? — Anna wysobodziła się z jego objęć. — Nie masz stałej pracy, ja nie mam oszczędności. Nie możemy sobie pozwolić na dziecko. — Kłopoty, możemy! Jeśli tylko zechcesz mi pomóc! — Ja? Zdziwiła się Anna. — W jaki sposób? — W bardzo prosty. Mówiłaś przecież o zamordowaniu twojego szefa i zżiwactwie jego żony. Można by trochę ich oskubać.

Anna spojrzała na niego jak gdyby z przestraszeniem. — Oskubać? Co masz na myśli? — Gdybyś opisał mi zwyczaje tych ludzi, ich mieszkanie, urządzenie sejfów... — przerwał jej.

Barbara Berlińska PTK — GODNY SPADKOBIERCA

Z TEKI EDWARDA KIEFERLINGA



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze zrzesza około 700 tys. członków, ma około 600 własnych oddziałów w całym kraju, ponad 12 tys. kół i klubów. Dysponuje 300 obiektami: schroniskami, domami wycieczkowymi, stanicami wodnymi — które mają ponad 20 tys. miejsc, w tym 12 tys. czteroczerw. Organizuje co roku kilkadziesiąt centralnych imprez oraz wiele lokalnych. Zapewnia "obsługę" przewodników w całym kraju.

Turystyka i wypoczynek — podróże po kraju i świecie stały się "chlebem powszednim" naszego życia. Czy nie za mało jest dziś w nich chęci autentycznego poznania piękna otoczonego kraju, przyrody, kultury wieków, starych zabytków?...

Taka idea bowiem przywileciała przed laty pierwszym wędrowcom-krajoznawcom, miłośnikom naszego kraju. Opisywał oni swoje wrażenia, prowadzili dzienniki podróży, gromadzili informacje o śmiach polskich. Wśród nich byli m. in. Wincenty Pol (poeta i geograf), Oskar Kolberg (folklorysta i etnograf), Zygmunt Gloger (etnograf, archeolog i historyk), Aleksander Janowski (działacz społeczny i oświatowy).

Barbara Berlińska PTK — GODNY SPADKOBIERCA

nauczony, ukierunkowując zainteresowania coraz szerszych rzesz jego sympatów. Nie było wówczas żadnej "bazy" turystycznej. Korzystało z ówczesnych środków lokomocji gospód, karcezm, zatrzymywano się na plebaniach, w domach i w... stodach. Toteż dużym osiągnięciem stało się otwarcie w 1910 r. pierwszego schroniska na Świętej Katarzynie. Potem zaczęły przybywać nowe, tworzone punkty noclegowe, rozpoznano wyznaczyć szlaki turystyczne, wydawać przewodniki.